

„We wrześniowym milczeniu”

...„Już ci kto milczy, toć znać, iż przyzwala...”

Mikołaj Rej

Cisza była czymś zupełnie niezwykłym dla Mikołaja Reja.

Miał zawsze wrażenie, że świat to miejsce promienne i rozległe, stale w ruchu, stale zmienne, wprawiane w ciągłe drżenie za pomocą dźwięków. Tych jasnych, ostrych, mocnych, szeleszczących, grzmiących, delikatniejszych niż ostatnie tchnienie ściętego kosą kłosa. Roily się w powietrzu, rozchodziły jak światło na powierzchni jeziora, otulały wszystko ze wszystkich stron, zostawiając na języku delikatny słodki smak.

Lubił mówić, że świat od zawsze przepełniała nieograniczona muzyka, spływająca z nieba niczym deszcz. Gdyby jednak usłyszał, że ktoś się z nim nie zgadza, mógłby poczuć się urażony, podnieść głós z wielkim uśmiechem na ustach i żartobliwie uderzyć pięścią w stół.

- Nawet promienie słońca wydają dźwięki! Trzeba tylko bardzo uważnie nasłuchiwać, to można usłyszeć jak rezolutnie ze sobą szwargocą.

Oczywiście zaprzeczyłby zarzutowi, że obawia się milczenia. Na samą myśl o takiej ewentualności narósłby w nim brzęczący gniew, gotów pochłonać wszystko, co dobre i piękne. O tak, poszedłby w zaparte- nawet jeśli dręczące go przecucie podpowiadało, że jego serce przestało bić, oddech gwałtownie ustał i jakkolwiek spojrzalby na swoją sytuację, nie dałoby się zaprzeczyć, że umarł.

Musieliby popędzić do niego szybko. Mikołaj Rej potrafił wyobrazić sobie, jak spieszą ku niemu- ich szybkie, niepewne kroki, szeroko otwarte oczy przyjaciół pełne dopiero co kielkującego przerażenia i smutku na widok pośpiesznie skreślonych słów, pobladłą od świeżego żalu twarz żony, łzy na policzkach dzieci. Czuł się okropnie na myśl, że naraził ich na tę bez wątpienia bolesną przeprawę. Musieli się wszyscy zgromadzić wokół jego cichego ciała, ułożyć je w trumnie, wyśpiewać całą swoją soczystą rozpacz. Mikołaj Rej żałował, że nie mógł ich usłyszeć. Z całych sił pragnął być teraz w domu, pogrążony w lekturze książek lub dołączyć cichutką melodię fletu do ćwierkających w półmroku szczygłów. Nie pamiętał dnia, podczas którego nie sięgał po instrument- stary, o powierzchni wygładzonej przez palce do takiego stopnia, że błyszczał niczym nieruchome lustro wody.

Mikołaj oddałby wszystko, żeby wrócić do zacisza własnego domu, wydobyć z ukochanego instrumentu kilka nutek, stworzyć na opuszkach palców atramentową konstelację przy kreśleniu paru słów przestrogi, otuchy, rady bądź mądrości. Zamiast tego znajdował się tutaj, gdzieś w ziemistej ciemności, w matczyńskich objęciach dębowych korzeni, w solidnej trumnie wymoszczonej jeszcze świeżymi kwiatami wrzosu.

Chciał poznać odpowiedzi na wiele pytań. We wspomnieniach wciąż odgrywał ostatnie chwile swojego życia, zastanawiając się, w którym momencie przeoczył znak, iż żywot jego chylił się ku kresowi- próżny trud, skoro czasu nie dało się rozplątać niczym kłęбка włóczki. Jego skóra zaczęła nabierać szarawobiałego odcienia, mimo że coś w głębi ciała wrzało jak w ulu. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że w jego kończynach, jak i organach wciąż tętni jakaś dziwna żywotność, echa rytmicznego bicia serca rozchodzące się w nim falami. Śmierć dookoła, w każdej księdze czy pieśni, zawsze prezentowała umrzyka jako puste naczynie pozbawione duszy, jak zwalone drzewo. Ale przy pierwszej nadarzącej się okazji Mikołaj Rej oświadczyłby, że dzieje się dokładnie na odwrót- w trupach tlą się jeszcze popioły życia.

Nie mógł uwierzyć, że raz na zawsze pożegnał się ze swoją śmiertelnością. Ledwie dzień wcześniej przemierzał ubite drogi Okszy w towarzystwie swojego wiernego cienia. Jeszcze niedawno jego śmiech niósł się echem w niskich pomieszczeniach kuchni, gdzie do rozpuku rozbawiła go wymyślona przez maleńką Barbarę bajka, lub zatłoczonych korytarzach sejmowych, gdzie znajome twarze posłów pojawiały się i znikwały w tłumie, prowadząc skomplikowany taniec z ludzką ciźbą.

Zeszłej nocy udało mu się rozśmieszyć Zofię swoimi figlikami, kiedy atrament nie wysechł całkowicie na kartce. Uwielbiał słuchać jej śmiechu, wysokiego i śpiewny, przywodzącego na myśl skoczną piosnkę słowika lub psotnie potargane przez letni wietrzyk dzwoneczki. Wysoko na niebie srebrzył się wtedy wąski sierp księżycy, jasny i nieosiągalny, niczym refleksy szczęśliwego wspomnienia. Wciąż miał poczucie przynależności do tego świata i nadal buzowało w nim życie; jak więc mógł być martwy? Jak mógł nie czuć kojącej obecności Boga, anielskich głosów, odrywającej się od ciała duszy ku zbawieniu? Jak mógł tak po prostu stać się niczym sen, który bladnie w nieśmiałych promieniach wschodzącego słońca? Ledwie chwilę temu śpiewał, perorował, radził, przeklinał, mówił, myślał... właściwie wciąż myślał. To było niesamowite, że w jego umyśle wciąż rozbrzmiewała kakofonia pragnień, tęsknot, idei, nawet jeśli nikt nie mógł wiedzieć, jak długo jeszcze.

Musiąco powoli świtać. Coś w kościach Mikołaja poruszyło się tęsknie, jakby głodne tych berbersowych, złocistych i różanych smugach rozciągających się na horyzoncie ze wschodu na zachód. Zwyczaj w tedy z zapartym tchem wsłuchiwać się w poranną toaletę domowników, stłumione dokazywania dzieci oraz pośpieszne przygotowania do śniadania przy akompaniamencie głuchego stukotu mis stawianych na stole przez Zofię. W oddali wtedy potężnie ziewnąłby las, wybudzający się z zielonego snu. Drogi Okszy powoli zapełniałyby się śpieszącymi ku swym sprawunkom chłopami, a jesienny wiatr przetoczyłby się leniwie przez miasto. Gdzieś w półmroku szczełałby pies, bardziej z poczucia obowiązku niż z ekscytacji. Nieopodal ćwierkałby ostatni słowik, śmiało i głośno, a bury wróblek odpowiedziałby mu trelami, choć bardziej zaspanymi. Chór świtu, który w czasie krótszym niż mrugnięcie oka stanie się ogłuszający.

Życie pełną parą.

Świadomość Mikołaja Reja zaczęła tkać sięć, wolno i miarowo, niczym woda cofająca się w porze odpływu. Jego umysł nie przestał pracować. Nie od razu. Chociaż serce przestało bić, rozum się opierał, walcząc do samego końca. Wszedł w stan wzmożonej świadomości, obserwując śmierć ciała, wciąż niegotowy, aby zaakceptować własny zgon. Wspomnienia Mikołaja wezbrały, niecierpliwie i skrupulatnie, gromadząc fragmenty, odłamki życia, które wpijają się w duszę. Przypomniał sobie o sprawach, które wydawały się poza jego zasięgiem, o których myślał, że przepadły na zawsze. Czas zaczął płynąć niczym wartki potok przenikających się reminiscencji, w których nie dało się odróżnić przeszłości od terażniejszości.

Pierwsze powracające wspomnienie dotyczyło ognia- jego szorstkości w gardle i smaku na języku.

Ujrzał samego siebie podczas zgromadzenia Sejmu- wściekłego, górującego nad wszystkimi olbrzymami. Ledwie chwilę temu zakończył swoją tyradę, wykrzychaną prosto w twarz pewnemu posłowi. Mimo że był chłodny wrześniowy dzień, przez maleńkie okna wpadało do środka światło słoneczne, znacząc w cętki zszokowane twarze i wydobywając z wiszących na ścianach herbów cudowną głębię barw. W sali zapadł całun ciszy, którego fantazyjne hafty i ścięgi mieniły się srebrzyście. Nikt nie chciał spotkać jego spojrzenia- wszyscy uparcie wpatrywali się we własne pergaminy, splątane brody, zaczerwienione dłonie. Nareszcie ten, którego Mikołaj musiał obrazić, otrząsnął się ze stuporu.

- *Amicus meus*- powiedział z mdlącą słodyczą, zamykając barki Mikołaja w uścisku, który w innych okolicznościach można by uznać za ciepły i przyjacielski- Czyżbyś chował pośród swoich figlików lekarstwo na nasze troski, *pro publico bono*?

Szlachcic, choć z rozmazaną twarzą, uśmiechał się kpiąco do Mikołaja, prowokując do wściekłej, łatwej do pokonania riposty. Wiedział, że gdy Mikołaj ponownie otworzy usta, wypłynie z niego polszczyzna, język strzech, ciepłego dymu ogniska domowego i szczerego serca. Tak działało się zawsze, gdy Mikołaj przerywał innemu szlachcicowi jego arogancki wywód, gdy pogoń za sławą czadziła oczy na cnotę, sumienie oraz honor. Drwiny oraz wzgarda zawsze nawiedzała ich twarze, gdy jego cierpki, acz donośny głos próbował im je przypomnieć, wskazać drogę ku lepszemu rozwiązaniu, podzielić się refleksjami. Zawsze zapadała wtedy cisza, zupełnie jakby Mikołaj wsunął palec w środek misternej pajęczynki wśród pnących się wysoko gałęzi. Jego dobytek wciąż jawił im się jako efemeryczny i niezakorzeniony jak nasiona dmuchawców. Wystarczyłby jeden silny podmuch wiatru, jedna gwałtowna ulewa i przepadał, ot tak. Parszywe uśmiešky rozjaśniały się, gdy Rej milkł.

Szczerze nienawidził ich oczu, tej pary maleńkich paciorków mieniących się triumfem.

- W takim razie *ad rem*...

Choć nikomu nie mógł się z tego zwierzyć, obawiał się w takich chwilach własnego zaniemówienia. Nie mógł czy może nie chciał zanurzyć albo spróbować tego niepokoju wywołanego milczeniem zrozumieć. Wnętrze jego istoty przestawało być wtedy spokojnym domem, wierzgając dziko niczym żrebię wypuszczone po raz pierwszy na soczyste równiny. Zupełnie jakby każda milcząca zgoda na zło czy głupotę oddalała go od Boga. Jak gdyby pękały kolejne sznury mostu linowego łączącego go z własnym, awanturycznym sercem, aż tylko cieniutkie włókno jeszcze go z Nim utrzymywało.

Pod warstwą ziemi Mikołaj Rej widział szwargot obrazów grzmiących i terkoczących, każdą chwilę, w której jego szorstki głos opuścił jego gardło w gniewie, radości, smutku i strachu.

Wciąż żywy Instynkt podpowiadał mu: „Otwórz usta. Wyrwij z piersi pieśń. Krzyknij”.

Jego Dusza protestowała: „Oblej łzami wzruszenia tą ciszę”.

Umysł Mikołaja Reja przywołał wspomnienie śpiewu kamienia. Urzekającą chwilę, gdy rejwach waśni był ledwie cieniem a słońce uśmiechało się serdecznie. Otoczony drzewami, życiem rozgrywającym swoje utarczki gdzieś obok niego. Oddech pomiędzy nutami zatrzymał się w jego piersi, gdy okryła go swym płaszczem cisza, sucha litania korników, pokora zboża, szloch wody.

Mógł wtedy przysiąc, że usłyszał rezolutny trel promieni słonecznych. Zadumany głos ojca, z którego ust spływały historie z dawnych lat.

Zupełnie jakby milczenie podarowało duszę wszechświata, skrzydła umysłowi, lot wyobraźni, a wszystkiemu życie.

Przyzwolenie na całe to piękno, które stworzył Bóg.

„Po co milczeć, skoro ono nic nie wyraża? Nie posiada kości kaleczącej podniebienie przy triumfującym okrucieństwie i złu świata. Jest bezwzględne”- nalegał Instynkt.

Oszołomiony trwającym sporem, Mikołaj Rej czekał. Pustka zawirowała i rozbryzgała się wokół niego, obmywając jego martwe palce u stóp i u rąk.

„W milczeniu rozkwita ludzka jaźń” kontynuowała Dusza. „Czasem utonięcie w niej oznacza przyzwolenie na wsłuchanie się w rytm własnego serca, kierunek, jaki obrała myśl. W ciszy twój rozum znajdzie odpowiedzi, których krzyk znaleźć nie potrafi”.

W ostatnim podrygu serca Mikołajowi zdawało się, że słyszał szelest ptasich skrzydeł. Była to tylko jedna para. Nie było tu też jego ojca, dawnych przyjaciół, których głosy już dawno temu zamilkły, rozplynęły się w wietrze, szepcie drzew, wydających bezkształtne odgłosy.

Gdy jego umysł popadł w marazm, a wszystkie wspomnienia rozmywały się we mgłę gęstej jak smutek, ostatnią rzeczą, jaką ujrzał, były rozbawione twarze jego dzieci, przyjaciół i żony. Śmiali się oni tak, jakby nic nigdy mogło ich rozdzielić, a życie było jedynie przedstawieniem, ekscytującym i niepokojącym, lecz niestwarzającym rzeczywistego zagrożenia, niczym udział w czyimś śnie. Choroba poruszyła się wtedy w jego ciele. Już robił wdech, aby podzielić się z nimi jakąś zabawną anegdotką, dowcipem, oderwać myśli od lodowatej ręki zaciskającej swe kościste palce na jego wnętrznościach.

Serce na chwilę zwolniło, ze wzruszenia lub smutku, z radości bądź po kolejnej klęsce w potyczce z chorobą jak ostatnie wersy piosnki, jak kończąca się pora roku.

Wydech opuścił jego ciało ciężko, świszcząco.

I wtedy wdech zrobiła cisza.

Imię i nazwisko: Dominika Żochowska

Klasa: 3H

Nauczyciel prowadzący: Wioletta Rupniewska

Nazwa szkoły: XI Liceum Ogólnokształcące im. Mikołaja Reja w Warszawie